

Tajemnica, która może zagrozić brytyjskiej monarchii

# SEKRET LISTU



Autorka serii Siedem Sióstr

LUCINDA RILEY

# 1

*Londyn*  
*5 stycznia 1996*

Joanna Haslam, czując rżenie w płucach, pędziła co tchu przez Covent Garden. Wyminęła turystów i dzieciaki idące do szkoły, o mały włos nie zderzyła się z artystą ulicznym, plecak zsunął się jej z ramienia. Na Bedford Street wypadła w chwili, gdy limuzyna zatrzymywała się przed żelazną bramą kościoła Świętego Pawła. Szofer wysiadł, by otworzyć drzwi, a samochód otoczyła chmara fotoreporterów.

Cholera! Cholera!

Resztką sił Joanna przebiegła ostatnie metry dzielące ją od bramy i wpadła na wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec. Zegar na ceglany frontonie kościoła potwierdził, że się spóźniła. Zbliżając się do wejścia, omiotła wzrokiem grupę paparazzich i zobaczyła, że jej fotograf Steve zajął idealną pozycję na schodach. Pomachała do niego, a kiedy pokazał jej uniesione kciuki, przecisnęła się przez fotografów stłoczonych wokół osobistości, która właśnie wysiadła z limuzyny. W końcu Joanna znalazła się w kościele. Z żyrandoli zawieszonych pod wysokim sklepieniem padało łagodne światło na wypełnione ławki. W tle słychać było dźwięki podniosłej muzyki organowej.

Joanna szybko machnęła plakieta z akredytacją dziennikarską, po czym z trudem łapiąc oddech, z ulgą zajęła miejsce w ławce na tyłach. Jej ramiona wznosiły się i opadały z każdym oddechem, gdy szperała w plecaku w poszukiwaniu notesu i długopisu.

Choć w kościele panował ziąb, czuła na czole kropelki potu;

czarny golf z miękkiej wełny, który wciągnęła w przypiływie paniki, nieprzyjemnie lepił się do ciała. Wyjęła chusteczkę i wytarła nos. Przczesała dłonią splątane długie, ciemne włosy, oparła się, zamknęła oczy i usiłowała złapać dech.

Nowy rok zaczął się tak obiecująco. Teraz Joanna czuła, jakby nie tyle strącono ją, ile zrzuciono ze szczytu Empire State Building. Błyskawicznie. Bez ostrzeżenia.

A wszystko z powodu Matthew, miłości jej życia, a raczej byłej miłości jej życia.

Przygryzając mocno dolną wargę, próbowała znowu się nie rozplakać. Wyciągnęła szyję, żeby zlustrować wzrokiem ławki przed ołtarzem, i zobaczyła z ulgą, że członkowie rodziny, na których wszyscy czekali, jeszcze nie przybyli. Za głównymi drzwiami na dworze paparazzi zapalali papierosy i majstrowali przy aparatach. Żałobnicy przed Joanną zaczęli się wiercić na niewygodnych drewnianych ławkach i szeptać do sąsiadów. Pospiesznie wyszukiwała w tłumie najślawniejsze osoby, o których mogłaby wspomnieć w artykule; próbowała je rozpoznać po tyłach głów, w przeważającej mierze siwych lub całkiem białych. Gdy zapisywała nazwiska w notesie, ponownie przypominała sobie to, co zdarzyło się poprzedniego dnia...

Wczoraj po południu Matthew nieoczekiwanie pojawił się na progu jej mieszkania w Crouch End. Po hucznym imprezowaniu w Boże Narodzenie i sylwestra postanowili rozejść się do swoich mieszkań i odpocząć przed powrotem do pracy. Joannę, niestety, dopadło najgorsze przeziębienie od lat. Gdy Matthew zapukał, w starej flanelowej piżamie i skarpetach w prążki otworzyła drzwi, ściskając ozdobioną Kubusiem Puchatkiem butelkę wypełnioną gorącą wodą.

Gdy Matthew zaczął się kręcić w drzwiach, nie chciał zdjąć kurtki i patrzył wszędzie, tylko nie na nią, wyczuła, że coś jest nie tak.

Potem powiedział, że trochę „myślał” i że, jego zdaniem, ich związek zmierza donikąd. Może czas dać sobie spokój.

– Jesteśmy razem od sześciu lat, od końca studiów – dodał, obracając w dłoniach rękawiczki, które podarowała mu na

Gwiazdkę. – Sam nie wiem... zawsze sądziłem, że z czasem zechcę się z tobą ożenić... no wiesz, oficjalnie połączyć nasze życia. Ale tak się nie stało... – Bez przekonania wzruszył ramionami. – Skoro nie czuję tego teraz, to chyba już nigdy nie poczuję.

Ściskając butelkę z gorącą wodą, Joanna przyglądała się jego twarzy, wyrażającej rezerwę i poczucie winy. W kieszeni piżamy znalazła wilgotną chusteczkę i mocno wysiąkała nos. Potem spojrzała mu prosto w oczy.

– Co to za jedna?

Po twarzy i szyi Matthew rozlał się rumieniec.

– Nie chciałem, żeby tak się stało – wymamrotał. – Ale stało się i dłużej nie mogę udawać.

Przypomniała sobie wspólnego sylwestra sprzed czterech dni i doszła do wniosku, że udawał całkiem nieźle.

Miała na imię Samantha. Pracowała w tej samej agencji reklamowej co Matthew. Ni mniej, ni więcej tylko główna księgowa. Zaczęło się tamtej nocy, kiedy Joanna czaiła się na posła torysów w związku z brudną aferą i nie zdążyła dotrzeć do agencji swojego chłopaka na przyjęcie gwiazdkowe. Słowo „banał” wciąż wirowało jej w głowie. Ale czyż banały nie są wspólnym mianownikiem ludzkich zachowań?

– Naprawdę próbowałem przestać myśleć o Sam – ciągnął Matthew. – Starałem się przez całe święta. Tak dobrze się bawiłem u twojej rodziny w Yorkshire. Potem, w zeszłym tygodniu, poszedłem z nią tylko na drinka i...

Joanna wypadła. Samantha wskoczyła na jej miejsce. Takie to było proste.

Wpatrywała się w niego bez słowa; w jej oczach płonął szok, gniew i lęk.

– Początkowo sądziłem – mówił dalej – że to zwykłe zauroczenie. Ale skoro czuję coś takiego do innej kobiety, to po prostu nie mogę się zaangażować w związek z tobą. Robię tylko to, co należy. – Spojrzał na Joannę, niemal prosząc, by podziękowała mu za tak szlachetną postawę.

– To, co należy – powtórzyła głucho. Potem po jej rozpalonych gorączką policzkach popłynęły zimne łzy.

Gdzieś w oddali Matthew mamrotał dalsze usprawiedliwienia. Zmuszając się do otwarcia opuchniętych, zażawionych oczu, Joanna osunęła się na sfatygowany skórzany fotel. Czuła się mała i upokorzona.

– Wynos się – wychrypiała. – Wredny, nikczemny, kłamliwy, cholerny oszuście! Wynocha!

Po fakcie największą udrękę budziło w niej to, że nie musiała go dłużej przekonywać. Wstał, zamruczał coś o swoich rzeczach zostawionych u niej, o tym, żeby spotkali się, kiedy emocje opadną, a potem popędził do drzwi.

Wczorajszy dzień spędziła, wyplakując się przez telefon matce i pociecie głosowej swego najlepszego przyjaciela Simona, płakała w coraz bardziej mokre futerko Kubusia Puchatka na butelce.

W końcu, dzięki sporym ilościom paracetamolu z difenhydraminą i brandy, osunęła się w niebyt, wdzięczna za parę dni wolnego, które należały się jej za pracę po godzinach przed Gwiazdką.

Dzisiaj o dziewiątej rano zadzwoniła jej komórka. Joanna wyrzuciła się z farmakologicznego otumanienia i sięgnęła po telefon, modląc się, żeby to był skruszony Matthew, do którego dotarła potworność tego, co zrobił.

– To ja – warknął szorstki głos z akcentem z Glasgow.

Zakłęła bezgłośnie do sufitu.

– Cześć, Alec. – Pociągnęła nosem. – Czego chcesz? Dzisiaj mam wolne.

– Przykro mi, ale nie. Alice, Richie i Bill są chorzy. Odpracowane dni będziesz musiała odebrać sobie kiedy indziej.

– Mogą dołączyć do klubu. – Joanna zakaszłała przesadnie w słuchawkę. – Przykro mi, Alec, ale ja też umieram.

– Spójrz na to tak: pracuj dzisiaj, a kiedy wydobrzejesz, będziesz mogła się cieszyć należnym urlopem.

– Naprawdę nie mogę. Mam gorączkę. Ledwie się trzymam na nogach.

– W takim razie dasz sobie radę. To robota na siedząco w kościele aktorów w Covent Garden. O dziesiątej jest tam nabożeństwo żałobne za sir Jamesa Harrisona.

– Alec, błagam, nie możesz mi tego robić. Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to siedzenie w zimnym kościele. Idź na nabożeństwo za mnie.

– Przykro mi, Jo, nie mam wyboru. Zapłacę ci za taksówkę do kościoła i z powrotem. Zaraz po nabożeństwie możesz wrócić do domu i przesłać mi artykuł mailem. Spróbuj porozmawiać z Zoe Harrison, dobra? Wysłałem Steve’a, żeby cyknął foty. Jeśli Zoe się wystroi, powinniśmy trafić na pierwszą stronę. Dobra, do usłyszenia później.

– Szlag by to! – Joanna opadła obolałymi plecami na poduszkę, ale w końcu zadzwoniła po taksówkę i powlokła się do szafy, żeby znaleźć coś czarnego.

Zazwyczaj kochała swoją pracę, wręcz dla niej żyła, jak często powtarzał Matthew, ale tego ranka poważnie zastanawiała się dlaczego. Po paru fuchach w gazetach lokalnych w zeszłym roku zatrudniła się jako młodsza reporterka w „Morning Mail”, jednym z najlepiej sprzedających się dzienników ogólnokrajowych, którego redakcja mieściła się w Londynie. Niestety, jej z trudem zdobyta pozycja – wciąż jeszcze niska – raczej nie pozwalała Joannie odmawiać. Alec, szef newsroomu, niejednokrotnie przypominał, że za jej plecami kłębi się tysiąc wygłodniałych dziennikarzy. Sześciotygodniowy okres w newsroomie okazał się najcięższym z dotychczasowych wyzwań. Bezlitosne godziny pracy i Alec, na przemian poganiacz niewolników i szczerze oddany zawodowiec, który nie oczekiwał od podwładnych ani krztyny mniej, niż sam był gotów dać.

– W każdej chwili przeniosłabym się do działu lifestyle – mruzczała, pociągając nosem, gdy wyciągała z szafy niezbyt czysty czarny golf, grube wełniane rajstopy i czarną spódnicę.

Taksówka przyjechała dziesięć minut później, a potem utknęła w kolosalnym korku na Charing Cross Road.

– Przykro mi, złotko, siła wyższa – powiedział taksówkarz.

Joanna zerknęła na zegarek, wcisnęła mu dziesięć funtów i wyskoczyła z samochodu. Kiedy ciężko dysząc i siorbiąc nosem, pędziła ulicami w stronę Covent Garden, wąpiła, by życie mogło być gorsze.

Wierni nagle przestali szeptać, co wybiło ją z zamyślenia. Otworzyła oczy, odwróciła się i ujrzała członków rodziny sir Jamesa Harrisona wchodzących do kościoła.

Na czele szedł Charles Harrison, jedyne dziecko sir Jamesa, dziś już dobrze po sześćdziesiątce. Mieszkał w Los Angeles i kręcił wysokobudżetowe filmy pełne efektów specjalnych. Joanna przypomniała sobie, że kiedyś dostał Oscara, ale nie gustowała w tego typu filmach.

U boku Charlesa Harrisona szła jego córka, Zoe Harrison. Zgodnie z oczekiwaniami Aleca, wyglądała olśniewająco w czarnym kostiumie z krótką spódnicą. Zaczesane do tyłu włosy upięte w wytworny kok uwydatniały jej klasyczną urodę angielskiej róży. Zoe była wschodzącą gwiazdą kina, za którą Matthew wprost szalał. Twierdził, że przypomina mu Grace Kelly – najwyraźniej jego ideał kobiety – co kazało Joannie zastanawiać się, dlaczego spotyka się z ciemnooką, wysoką i chudą brunetką jak ona. Przełykając gulę w gardle, pomyślała, że jest gotowa założyć się o butelkę z Kubusiem Puchatkiem, że Samantha jest drobną blondyneczką.

Zoe Harrison trzymała za rękę dziewięcio-, może dziesięcioletniego chłopca, który najwyraźniej czuł się niezręcznie w czarnym garniturku i krawacie. Syn Zoe, Jamie Harrison, otrzymał imię po pradziadku. Zoe urodziła go w wieku zaledwie dziewiętnastu lat i nigdy nie wyjawiała, kto jest ojcem. Sir James lojalnie bronił wnuczki i jej decyzji o urodzeniu dziecka, a także tego, by zachować ojcostwo chłopca w tajemnicy.

Joanna pomyślała, że Jamie jest bardzo podobny do matki: takie same delikatne rysy, jasna cera, wielkie, niebieskie oczy. Zoe Harrison starała się trzymać chłopca jak najdalej od kamer. Jeśli Steve zdołał uchwycić matkę i syna razem, zdjęcie powinno trafić na pierwszą stronę jutrzejszego wydania.

W następnej kolejności szedł brat Zoe, Marcus Harrison. Joanna przyjrzała mu się, gdy mijał jej ławkę. Choć jej myśli nadal zaprzętał Matthew, musiała przyznać, że Marcus Harrison to prawdziwe ciacho, jak by powiedziała jej koleżanka reporterka Alice. Joanna pamiętała go z kronik towarzyskich; ostatnio wi-

dywano go u boku jasnowłosej brytyjskiej celebrytki o trójczłonowym nazwisku. W odróżnieniu od siostry był śniady, miał jednak takie same niebieskie oczy i emanował samczą pewnością siebie. Z włosami prawie do ramion, w wymiętej czarnej marynarce i białej koszuli rozpiętej pod szyją prezentował się bardzo charyzmatycznie. Joanna z trudem oderwała od niego wzrok. Następnym razem wezmę na cel faceta w średnim wieku, który lubi obserwować ptaki i zbierać znaczki, obiecała sobie. Próbowwała skojarzyć, z czego żył Marcus Harrison... chyba stawiał pierwsze kroki jako producent filmowy. Z pewnością na takiego wyglądał.

– Dzień dobry, panie i panowie – przemówił pastor. Przed nim stało duże zdjęcie zmarłego okolone białymi różami. – Rodzina sir Jamesa Harrisona pragnie państwa powitać i podziękować za to, że zjawiliście się tu, by złożyć hołd przyjacielowi, koledze, ojcu, dziadkowi, pradziadkowi i może największemu aktorowi w tym kraju. Tych, którym dane było dobrze go poznać, nie zdziwi fakt, że sir James życzył sobie, aby to wydarzenie nie było smutne, lecz radosne. Zarówno jego rodzina, jak i ja uszanowaliśmy jego wolę. Dlatego zaczniemy od ulubionego hymnu sir Jamesa *I Vow to Thee My Country*. Proszę wszystkich o powstanie.

Joanna rozprostowała obolałe nogi, ciesząc się, że organy zaczęły grać akurat w chwili, gdy głośno zakaszła. Kiedy sięgnęła po kartkę z planem nabożeństwa, uprzedziła ją drobna dłoń z niemal przezroczystą skórą, pod którą widniały niebieskie żyły.

Po raz pierwszy popatrzyła w lewo i przyjrzała się swojej sąsiadce. Zgięta ze starości kobieta sięgała jej najwyżej do piersi. Wspierała się o krawędź ławki, a dłoń trzymająca kartkę mocno drżała. To był jedyny widoczny fragment jej ciała. Resztę skrywał czarny płaszcz do kostek; twarz zasłaniała czarna woalka.

Nie mogąc czytać z powodu drżenia dłoni, Joanna pochyliła się i zwróciła do kobiety:

– Czy mogę się z panią podzielić?

Nieznajoma podała jej kartkę, a ona położyła tak, by starszka również ją widziała. Joanna próbowała śpiewać, ale to, co



wydobywało się z jej gardła, było raczej chrypieniem. Gdy hymn się skończył, a jej sąsiadka zaczęła siadać, Joanna bez słowa podała jej rękę, starsza pani zignorowała jednak pomoc.

– Na początek przyjaciel zmarłego, sir Laurence Sullivan, przeczyta jego ulubiony sonet, *Sweet Rose of Virtue* Dunbara.

Wierni siedzieli cierpliwie, gdy sędziwy aktor szedł w kierunku ołtarza. Po chwili kościół wypełnił słynny wyrazisty głos, który kiedyś elektryzował tysiące widzów w teatrach całego świata.

– *Słodka różo cnoty, precudna lilio...*

Uwagę Joanny odwróciło skrzypienie za plecami; drzwi otworzyły się i wpadł podmuch mroźnego powietrza. Do kościoła wszedł młody mężczyzna pchający wózek inwalidzki; zatrzymał się obok ławki po drugiej stronie przejścia, zostawił wózek i wyszedł z kościoła. W tym momencie Joanna usłyszała rżenie, przy którym jej własne problemy z oskrzelami wydawały się błahostką. Siedząca obok niej staruszka, która najwyraźniej miała atak astmy, wpatrywała się spod woalki w mężczyznę siedzącego na wózku inwalidzkim.

– Nic pani nie jest? – szepnęła dość idiotycznie Joanna, kiedy starsza pani, nadal nie spuszczając wzroku z wózka, przyłożyła dłoń do piersi.

Pastor zapowiedział następny hymn i wierni powstali. Staruszka chwyciła ją za rękę i pokazała drzwi za ich plecami.

Joanna pomogła jej wstać, objęła ją w talii i właściwie dowlokła do końca ławki. Kiedy się tam znalazły, staruszka wtuliła się w jej płaszcz jak dziecko pragnące ochrony. Zimne stalowoszare oczy człowieka na wózku inwalidzkim omiotły je obie. Joanna wzdrygnęła się, oderwała wzrok od mężczyzny i pomogła staruszce dotrzeć do drzwi kościoła, gdzie stał człowiek, który wcześniej pchał wózek.

– Ta pani... – odezwała się Joanna. – Ona potrzebuje...

– ...powietrza – wykrztusiła staruszka.

Mężczyzna pomógł wyprowadzić starszą panią na szary styczniowy dzień. Zeszli po schodach i dotarli do jednej z ławek na dziedzińcu. Zanim Joanna zdążyła poprosić o dalszą pomoc, mło-

dy człowiek czmychnął z powrotem do kościoła i zamknął drzwi. Staruszka osunęła się na ławkę, oddychając z najwyższym trudem.

– Mam wezwać karetkę? – spytała Joanna. – Pani oddech nie brzmi najlepiej.

– Nie! – wydyszała starsza pani z siłą niepasującą do jej kruchości ciała. – Wezwij taksówkę. Zawieź mnie do domu. Proszę...

– Naprawdę sędzę, że powinna pani...

– Proszę! Taksówka! – Kościste palce zacisnęły się na nadgarstku Joanny.

– Dobrze. Proszę tu poczekać.

Joanna wybiegła przez bramę na Bedford Street i zatrzymała przejeżdżającą taksówkę. Taksówkarz uprzejmie wysiadł i pomógł doprowadzić starszą panią do samochodu.

– Nic jej nie jest? – spytał, gdy usadowili starszą panią na tylnym siedzeniu. – Trochę słabo oddycha. Nie powinna pojechać do szpitala?

– Twierdzi, że chce jechać do domu. – Joanna nachyliła się i zajrzała do taksówki. – A właściwie gdzie jest pani dom?

– Ja... – Wysiłek związany z wsiadaniem do taksówki najwyraźniej wyczerpał staruszkę; siedziała, ciężko dysząc.

– Przykro mi, kochanie. – Taksówkarz pokręcił głową, patrząc na Joannę. – Nie mogę nigdzie zawieźć tej pani w takim stanie, na pewno nie samej. Nie chcę zgonu w taksówce. Za duży kłopot. Mógłbym ją zabrać, gdybyś ty też pojechała. Wtedy nie ja będę odpowiadał, tylko ty.

– Ja jej nie znam... To znaczy... jestem w pracy... W tej chwili powinnam być w kościele.

– Przykro mi, kochana – zwrócił się do staruszki. – Musisz wysiąść.

Uniosła woalkę i Joanna ujrzała przerażone mlecznobłękitne oczy.

– Proszę – wyszeptała staruszka.

– Dobrze, dobrze. – Joanna westchnęła z rezygnacją i zajęła miejsce z tyłu. – Dokąd?

– ... Mary... Mary...

– Nie. Dokąd? – powtórzyła Joanna.  
– Mary... le...  
– Ma pani na myśli Marylebone? – spytał z za kierownicy taksówkarz.

Starsza pani z wyraźną ulgą przytaknęła.

– Robi się.

Gdy ruszyli, starszka niespokojnie wyglądała przez okno. Oparła głowę na czarnym skórzanym zagłówku i zamknęła oczy; jej oddech stopniowo wrócił do normy.

Joanna westchnęła. Coraz lepiej. Alec ukrzyżowałby ją, gdyby wiedział, że wyszła z kościoła przed zakończeniem nabożeństwa. Historia o starszej pani, która zasłała, nie zrobiłaby na nim wrażenia. Staruszki interesowały Aleca tylko wtedy, gdy pobił je skinhead, ukradł rentę i zostawił na pewną śmierć.

– Jesteśmy już prawie w Marylebone. Możesz spróbować się dowiedzieć, dokąd dokładnie jedziemy? – spytał taksówkarz.

– Marylebone High dziewiętnaście. – Głos starszej pani zabrzmiał tak mocno i wyraźnie, że Joanna spojrzała na nią zdziwiona.

– Lepiej się pani czuje?

– Tak, dziękuję. Przepraszam za kłopot. Powinna pani tu wysiąść – powiedziała, gdy zatrzymali się na światłach. – Dam już sobie radę.

– Nie. Odprowadzę panią do domu. Skoro już tu jestem...

Staruszka pokręciła głową najsilniej, jak potrafiła.

– Proszę, dla pani własnego dobra. Ja...

– Jesteśmy już prawie na miejscu. Pomogę pani wejść do domu i sobie pójdę.

Westchnęła, skuliła się i nie odezwała się więcej ani słowem, dopóki taksówka się nie zatrzymała.

– Jesteśmy, kochana. – Taksiarz, wyraźnie uradowany, że pasażerka nie zeszła podczas jazdy, otworzył drzwi.

– Niech pan to weźmie. – Staruszka wręczyła mu pięćdziesięciofuntowy banknot.

– Niestety, nie mam wydać – powiedział, pomógł jej wysiąść na chodnik i podtrzymał ją, póki nie podeszła Joanna.

– Proszę. – Joanna podała mu dwadzieścia funtów. – Niech pan tu na mnie poczeka. Wracam za moment.

Starsza pani zdążyła już uwolnić się z jej uścisku i niepewnym krokiem szła w stronę drzwi obok kiosku. Joanna ruszyła za nią.

– Mogę? – spytała, gdy starszka artretycznymi palcami usiłowała wsunąć klucz do zamka.

– Dziękuję.

Joanna przekręciła klucz, otworzyła drzwi, a starsza pani niemal w nie wpadła.

– Wejdz, wejdz, szybko!

– Ja... – próbowała protestować Joanna, która po odwiedzeniu tej kobiety do domu zamierzała wrócić do kościoła. – No dobrze. – Niepewnie weszła do środka, a starszka natychmiast zatrzasnęła za nią drzwi.

– Proszę iść za mną. – Ruszyła do drzwi po lewej stronie wąskiego korytarza. Po zmaganiach z kolejnym kluczem wreszcie je otworzyła, a Joanna wkroczyła za nią w ciemność. – Światło jest tuż za tobą po prawej.

Joanna pstryknęła włącznik i ujrzała, że stoi w niedużym zaćmionym holu. Przed sobą miała troje drzwi, po prawej schody.

Gdy starszka otworzyła jedno z drzwi i zapaliła światło, oczom Joanny ukazał się pokój pełen poustawianych w sterety drewnianych skrzynek po herbacie. Na środku stało wąskie zardzewiałe żelazne łóżko. Pod ścianą, wciśnięty między skrzynki, stał stary fotel. Silny zapach moczu przyprawiał Joannę o mdłości.

Starsza pani podeszła do krzesła, usiadła z westchnieniem ulgi i wskazała leżącą przy łóżku skrzynkę po herbacie.

– Tabletki... moje tabletki.

Joanna ostrożnie przeszła między skrzynkami i wzięła leki; zauważyła, że ulotka z zaleceniem dawkowania jest po francusku.

– Dziękuję. Poproszę dwie. I wodę.

Podała jej szklankę wody, która stała obok lekarstwa, otworzyła buteleczkę, wysypała dwie tabletki na drżącą dłoń i patrzyła, jak kobieta je połyka. Joanna zastanawiała się, czy wypada już

odejść. Panujący w pokoju zaduch i przygnębiająca atmosfera dawały się jej we znaki. Wzdrygnęła się i zapytała:

– Na pewno nie potrzebuje pani lekarza?

– Na pewno. Dobrze wiem, co mi dolega, kochanie. – Na ustach starszej pani pojawił się nieznaczny uśmiech.

– No tak... Niestety, powinnam wracać do kościoła. Muszę napisać artykuł.

– Jesteś dziennikarką? – Teraz, gdy staruszka w pełni odzyskała głos, mówiła z akcentem angielskich wyższych sfer.

– Tak. Pracuję jako młodsza reporterka w „Morning Mail”.

– Jak się nazywasz, kochanie?

– Joanna Haslam. – Joanna wskazała skrzynki. – Czy pani się przeprowadza?

– Chyba można tak to nazwać. – Zamglone niebieskie oczy zapatrzyły się w dal. – Długo tu już nie zabawię. Może dobrze, że tak się to kończy...

– Co pani ma na myśli? Jeśli jest pani chora, zabiorę panią do szpitala.

– Nie, nie. Na to jest już za późno. Wracaj do swego życia, kochanie. Do widzenia. – Starsza pani przymknęła oczy.

Joanna obserwowała ją przez chwilę, a kiedy kobieta zaczęła pochrapywać, cicho wyszła z pokoju, nie mogąc dłużej znieść jego atmosfery, i pobiegła z powrotem do taksówki.

Gdy wróciła do Covent Garden, nabożeństwo żałobne dobiegło już końca. Limuzyna Harrisonów odjechała, a przed kościołem stała tylko grupka żałobników. Całkowicie przybita Joanna zdołała zebrać od nich garść wypowiedzi, wezwała taksówkę i uznała, że zmarnowała cały ranek.

## 2

Ktoś dzwonił do drzwi. Brzęczenie wwiercało się w obolałą głowę Joanny.

– Booże – jęknęła, gdy zdała sobie sprawę, że gość, kimkolwiek jest, nie zamierza sobie pójść.

Matthew?

Ta myśl podniosła ją na duchu tylko na ułamek sekundy. Matthew świętował pewnie wolność szampanem w łóżku z Samantha.

– Idź sobie! – zawyła i wytarła noc w starą koszulkę swojego eks, co trochę poprawiło jej humor.

Dzwonek rozbrzmiał znowu.

– Szlag by to!

Skapitulowała, wypełzła z łóżka, powlokła się do drzwi i otworzyła.

– Cześć, seksowny kociaku. – Simon miał czelność uśmiechać się do niej. – Wyglądasz fatalnie.

– Cześć – wymamrotała, przytrzymując się drzwi.

– Chodź do mnie.

Utonęła w przyjemnie znajomych objęciach. Liczący metr dziewięćdziesiąt Simon był jednym z niewielu ludzi, przy których wysoka Joanna czuła się drobna i krucha.

– Wczoraj w nocy po powrocie do domu odsłuchiwałem twoją wiadomość. Przepraszam, że nie mogłaś się wypłakać.

– W porządku. – Wtulona w ramię przyjaciela, pociągnęła nosem.

– Wejdźmy do środka, zanim z ubrania zaczną ci zwisać so-  
ple, dobra? – Wciąż mocno ją obejmując, Simon zamknął drzwi  
i zaprowadził Joannę do niedużego salonu. – Jezu, ależ tu ziąb.

– Przepraszam. Całe popołudnie przeleżałam w łóżku. Je-  
stem potwornie przeziębiona.

– No co ty! – droczył się z nią Simon. – Usiądź.

Zrzucił na podłogę stare gazety, książki i pojemniki z maka-  
ronem i zaschniętym sosem. Joanna osunęła się na niewygodną  
kanapę w kolorze limonki. Kupiła ją tylko dlatego, że Matthew  
podał się kolor, a potem zawsze tego żałowała. Ilekroć ją od-  
wiedzał, siadywał w starym skórzanym fotelu po jej babci. Nie-  
wdzięczny sukinsyn, pomyślała.

– Jesteś w słabej formie, prawda, Jo?

– Zgadza się. Oprócz tego, że Matthew mnie rzucił, dziś  
rano Alec posłał mnie, żebym opisała nabożeństwo żałobne,  
choć miałam wolne. W efekcie wylądowałam na Marylebone  
High z dziwną staruszką, która mieszka w pokoju pełnym  
drewnianych skrzynek po herbacie.

– Kurczę. A ja odbębniam godziny w Whitehall, gdzie dzisiaj  
najbardziej ekscytującą rzeczą było to, z czym będzie kanapka.

Z trudem się uśmiechnęła w uznaniu tej próby rozwesele-  
nia jej.

Simon usiadł na kanapie i ujął dłonie Joanny.

– Naprawdę strasznie mi przykro, Jo.

– Dzięki.

– Ta sprawa z Matthew jest definitywnie zakończona czy to  
po prostu wyboje na drodze do szczęścia małżeńskiego?

– To koniec, Simon. Ma kogoś nowego.

– Chcesz, żebym skopał mu tyłek? Poprawiłoby ci to hu-  
mor?

– Prawdę mówiąc, tak, ale w rzeczywistości nie. – Potar-  
ła policzki. – Najgorsze, że w takich chwilach człowiek ma się  
godnie zachowywać. Kiedy ludzie pytają, jak się masz, powinnaś  
machać ręką i mówić: „Dzięki, wszystko w porządku. On nic dla  
mnie nie znaczył, a jego odejście to najlepsza rzecz, jaka mnie  
spotkała. Teraz mam więcej czasu dla siebie i przyjaciół, nawet

zaczęłam haftować!”). Ale to wszystko brednie. Gdybym mogła odzyskać Matthew i dawne życie, byłabym gotowa czołgać się po rozżarzonych węglach. Ja... go kocham. Potrzebuję go. Jest mój. Należy... do mnie.

Simon obejmował ją, gdy łkała. Delikatnie gładził ją po włosach i słuchał, jak wylewają się z niej szok, żal, zagubienie. Kiedy się wyplakała, łagodnie ją odsunął i wstał.

– Rozpal w kominku, nastawię wodę na herbatę.

Zapaliła gaz w kominku i ruszyła za nim do małej kuchni. Usiadła przy laminowanym stoliku w rogu, gdzie jadła z Matthew tyle leniwych niedzielnych lunchów, tyle intymnych kolacji przy świecach. Simon krzątał się przy herbacie, a jej wzrok powędrował ku szklanym słojom stojącym równo na blacie.

– Zawsze nie cierpiałam pomidorów suszonych na słońcu – odezwała się w zamyśleniu. – Matthew za nimi przepadał.

– Cóż. – Simon wziął słoje z niechcianymi pomidorami i wyrzucił je do śmieci. – Czyli wynikło jednak z tego coś pozytywnego.

– Właściwie, kiedy tak się teraz zastanawiam, było wiele rzeczy, które Matthew lubił, a ja tylko udawałam, że lubię. – Joanna wsparła podbródek na dłoniach.

– Na przykład?

– Och, oglądanie zakręconych zagranicznych filmów w niedzielę w Lumière, kiedy wolałam zostać w domu i obejrzeć głupi serial. Drugą sprawą była muzyka. Owszem, dopuszczam muzykę poważną w małych dawkach, ale nigdy nie pozwalała mi puszczać moich albumów *ABBA Gold* ani *Take That*.

– Przykro mi to wyznać, ale tu jestem po stronie Matthew. – Simon roześmiał się, zalewając wrzątkiem torebki. – Wiesz, jeśli mam być szczery, zawsze czułem, że Matthew aspiruje do bycia osobą, którą, jak uważał, powinien być.

– Masz rację. – Westchnęła ciężko. – Ja po prostu byłam dla niego za mało imponująca. Ale taka właśnie jestem: nudna dziewczyna z klasy średniej z Yorkshire.

– Zapewniam cię, że nie jesteś zwyczajna. Ani nudna. Może szczerza, stąpasz mocno po ziemi, owszem, ale akurat te cechy



zasługują na podziw. – Trzymaj. – Podał jej kubek z herbatą. – Chodź, odtajmy przy ogniu.

Joanna usiadła na podłodze przed kominkiem, między kolanami Simona, i wypijała łyk herbaty.

– Boże, Simon, na myśl o tym, że znowu będę musiała umawiać się na randki, robi mi się słabo. Mam dwadzieścia siedem lat, jestem za stara, żeby zaczynać od początku.

– To prawda, jesteś sędziwą staruszką. Czuję powiew mogiły.

– Nie żartuj z tego! – Trzepnęła go w łydkę. – Przyzwyczajanie się do samotności zajmie mi całe wieki.

– Problem z nami, ludźmi, polega na tym, że nie lubimy zmian. Jestem pewien, że z tego powodu wiele żalosnych par trzyma się razem, chociaż dla obojga byłoby lepiej, gdyby się rozstali.

– Prawdopodobnie masz rację. Spójrz na mnie: całymi latami jadłam suszone pomidory! A skoro mowa o parach... Czy twoja Sara się odezwała?

– Tydzień temu przysłała mi kartkę z Wellington. Wygląda na to, że uczy się żeglować. To był długi rok rozłąki. W lutym wraca z Nowej Zelandii, więc zostało już tylko parę tygodni.

– To takie miłe z twojej strony, że na nią czekasz.

– Jeśli kogoś kochasz, dajesz mu wolność. Czy nie tak brzmi stare porzekadło? Jeśli po powrocie Sara nadal będzie mnie chciała, oboje będziemy wiedzieli, że to działa.

– Tego nie możesz być nigdy pewny. Ja też sądziłam, że to między Matthew i mną działa.

– Dzięki za słowa otuchy. – Simon uniósł brwi. – Daj spokój, masz pracę, mieszkanie i mnie. Jesteś twarda, Jo. Zobaczysz, spadniesz na cztery łapy.

– Pod warunkiem że nadal mam pracę, do której mogę wrócić. Ten artykuł o nabożeństwie za sir Jamesa Harrisona był beznadziejny. Cała ta sprawa z Matthew, przeziębienie, do tego ta dziwna staruszka...

– Mówisz, że mieszka w pokoju pełnym skrzynek po herbach? Na pewno nie majaczyłaś?

– Na pewno. Powiedziała, że nie zabawi tam długo, więc się nie rozpakowuje. – Joanna przygryzła wargę. – Fuj... jak tam cuchnęło sikami... Czy to nas czeka na starość? To wszystko totalnie mnie przygnębiło. Siedziałam tam i myślałam, że skoro życie ma nam do zaoferowania coś takiego, to po co się męczyć?

– Trafiłaś pewnie na jedną z tych dziwaczek, co mieszkają w chlewie, ale mają miliony w banku. Albo w skrzynkach po herbacie. Trzeba było sprawdzić.

– Wszystko z nią było dobrze, dopóki nie zobaczyła starszego gościa na wózku inwalidzkim. Jego widok śmiertelnie ją przeraził.

– To pewnie jej były mąż. Może w tych skrzynkach były jego miliony. – Simon się zaśmiał. – Tak czy siak, najdroższa, muszę lecieć. Do jutra muszę coś zrobić.

Joanna odprowadziła go do drzwi. Przyjaciel mocno ją uściśnął.

– Dzięki za wszystko – powiedziała i pocałowała go w policzek.

– Zawsze do usług. Jutro zadzwonię z pracy. Trzymaj się, Butch.

– Dobranoc, Sundance\*.

Zamknęła za nim drzwi i w wyraźnie lepszym nastroju wróciła do salonu. Simon zawsze potrafił ją rozweselić. Przyjaźnili się całe życie. Mieszkał z rodziną na sąsiedniej farmie w Yorkshire i chociaż był od Joanny o kilka lat starszy, z powodu braku innego towarzystwa na pustkowiu spędzali ze sobą mnóstwo czasu. Jako jedynaczka i chłopczyca, uwielbiała towarzystwo Simona. Nauczył ją łązić po drzewach, grać w krykieta i piłkę nożną. Podczas długich letnich wakacji galopowali na kucach po wrzosowiskach, bawili się w kowbojów i Indian. Tylko wtedy ze sobą walczyli i zawsze Simon – bardzo niesprawiedliwie – domagał się, żeby to on przeżył, a ona zginęła.

– To moja zabawa, bawimy się według moich reguł – upierał się, tonąc w wielkim kowbojskim kapeluszu. Po pościgu na wrzosowiskach nieodmiennie zachodził przyjaciółkę od tyłu.

---

\* Nawiązanie do filmu *Butch Cassidy i Sundance Kid* o niezwyklej przyjaźni dwóch rewolwerowców.

– Bang, bang! Nie żyjesz! – wołał, mierząc do niej ze strzelby-zabawki, a ona zataczała się, padała na trawę, udawała agonię i wreszcie umierała.

W wieku trzynastu lat Simon wyjechał do szkoły z internatem i rzadziej się widywali. Podczas wakacji wracała dawna bliskość, ale oboje nawiązali nowe przyjaźnie. Kiedy Simon dostał się do Trinity College w Cambridge, uczcili to szampanem na wrzosowiskach. Dwa lata później Joanna wyjechała do Durham studiować anglistykę.

Potem ich drogi niemal zupełnie się rozeszły; Simon poznał w Cambridge Sarę, a na ostatnim roku w Durham Joanna spotkała Matthew. Dopiero w Londynie – gdy przypadkiem odkryli, że mieszkają o dziesięć minut od siebie – przyjaźń rozkwitła na nowo.

Joanna wiedziała, że Matthew nigdy tak naprawdę nie polubił Simona. Oprócz tego, że górował nad nim fizycznie, po ukończeniu Cambridge Simon dostał posadę wysokiego urzędnika państwowego w Whitehall. Co prawda zawsze mówił skromnie, że jest zwykłym gościem z Whitehall – cały Simon – ale szybko mógł sobie pozwolić na mały samochód i przytulne mieszkanie z jedną sypialnią na Highgate Hill. Tymczasem Matthew robił za popychadło w agencji reklamowej, a parę lat temu zaproponowano mu posadę niskiego szczebla, która pozwalała jedynie na wilgotną kawalerkę w Stratford.

Może, pomyślała nagle Joanna, Matthew ma nadzieję, że wysoka pozycja Samantha w agencji pomoże mu w karierze.

Potrząsnęła głową. Postanowiła więcej dziś o nim nie myśleć. Zaciskając zęby, puściła głośno płytę Alanis Morissette. Pieprzyć sąsiadów, pomyślała, idąc do łazienki, żeby napuścić do wanny gorącej wody. Ponieważ co sił w płucach śpiewała ochryple *You Learn*, a woda leciała z kranu, nie usłyszała kroków na krótkiej ścieżce prowadzącej do drzwi wejściowych, nie zobaczyła też twarzy zaglądującej przez okno salonu na parterze. Gdy wychodziła z łazienki, intruz właśnie się oddalał.

Spokojniejsza, wykąpana, zrobiła sobie kanapkę z serem, zaciągnęła zasłony w salonie i usiadła przed kominkiem, żeby

ogrzać stopy. Nieoczekiwanie spłynęła na nią fala optymizmu co do przyszłości. Pewne rzeczy, które powiedziała Simonowi w kuchni, brzmiały trochę jak żart, ale tkwiła w nich prawda. Matthew i ona mieli bardzo niewiele wspólnego. Teraz była wolnym elektronem, liczyło się jedynie jej dobro; koniec stawiania własnych uczuć na drugim miejscu. To jej życie, wszystko ma w swoich rękach i nie pozwoli, by Matthew zrujnował jej przyszłość.

Nie czekając, aż pozytywny nastrój wyparuje i ponownie opadną ją czarne myśli, łyknęła parę tabletek paracetamolu i poszła spać.

# 3

– Do widzenia, kochanie. – Przytuliła go, wdychając znajomy zapach.

– Do widzenia, mamó. – Jamie na chwilę wtulił się w matczyne futro, potem cofnął się, żeby zobaczyć jej twarz.

Zoe Harrison odchrząknęła i zamrugwała, by powstrzymać łzy. Ta chwila nie stawała się łatwiejsza przez to, że powtarzali ją już tyle razy. Ponieważ jednak płacz w obecności przyjaciół syna nie uchodził, uśmiechnęła się dzielnie.

– Za dwa tygodnie w niedzielę przyjadę zabrać cię na lunch. Zaprosz Hugo, może zechce iść z nami.

– Jasne.

Chłopiec stał skrępowany przy samochodzie, Zoe zrozumiała więc, że czas ruszać. Nie mogła się oprzeć chęci odgarnięcia kosmyka jasnych włosów z twarzy syna. Jamie przewrócił oczami i przez chwilę miała przed sobą nie poważnego młodzieńca, na którego wyrastał, ale małego chłopca, jakiego pamiętała. Gdy tak stał, w granatowym mundurku szkolnym, w krawacie zawiązanym schludnie, jak nauczył go jej dziadek, Zoe poczuła ogromną dumę z syna.

– Dobrze, skarbie. Znikam. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Albo jeśli po prostu zechcesz pogadać.

– Tak zrobię, mamó.

Usiadła za kierownicą, zamknęła drzwi i uruchomiła silnik. Po chwili opuściła szybę.

– Kocham cię. Trzymaj się. Pamiętaj, żeby ciepło się ubierać i nie zostawaj w mokrych skarpetach po rugby dłużej niż trzeba.

– Tak, mamo. – Jamie się zaczerwienił. – Do widzenia.

Zoe, wyjeżdżając z podjazdu, widziała w lusterku wstecznym, jak syn macha do niej wesoło. Skręciła i znikł jej z oczu. Gdy po przejechaniu przez bramę znalazła się na drodze, otarła ręką łzy i sięgnęła do kieszeni płaszcza po chusteczkę. Po raz setny powtórzyła sobie, że w takich chwilach cierpi bardziej niż Jamie. Zwłaszcza teraz, po odejściu jej dziadka.

Czekała ją godzinna droga powrotna do Londynu. Wypatrując drogowszkarów, po raz kolejny zastanawiała się, czy odwiezienie dziesięcioletniego syna do szkoły z internatem nie było błędem, zwłaszcza teraz, kilka tygodni po śmierci jego pradziadka. Z drugiej strony Jamie uwielbiał szkołę, kolegów, regularny rytm dnia – wszystko, czego nie mogła mu zapewnić w domu. W szkole rozkwitał, dorastał, wybijał się na niezależność.

Nawet jej ojciec zwrócił na to uwagę, gdy wczoraj wieczorem odwiozła go na Heathrow. Żal spowodowany śmiercią ojca wyraźnie go przytłoczył i Zoe zauważyła na jego przystojnej, opalonej twarzy oznaki starości.

– Świetnie sobie radzisz, kochanie, powinnaś być z siebie dumna. Twój syn też – powiedział jej na ucho, przytulając Zoe na pożegnanie. – Przywieź Jamiego do Los Angeles na wakacje. Spędzamy razem za mało czasu. Brakuje mi ciebie.

– Ja też za tobą tęsknię – odparła Zoe i stała, lekko oszłamiona, gdy ojciec przechodził przez bramkę kontroli bezpieczeństwa. Tak rzadko ją chwalił. Albo jej syna.

Wróciła myślami do dnia, gdy w wieku osiemnastu lat odkryła, że jest w ciąży i niemal umarła z szoku i zgrozy. Dopiero co skończyła szkołę, dostała się na studia, więc perspektywa przyjscia na świat dziecka zakrawała na żart. Mimo gniewu i krytyki ze strony ojca i znajomych, a także presji z zupełnie innego źródła, w głębi serca Zoe wiedziała, że musi urodzić to dziecko. Jamie był wyjątkowym, magicznym darem, owocem miłości, z której wciąż, mimo upływu dziesięciu lat, nie całkiem się otrząsnęła.

Gdy włączyła się na autostradzie w sznur samochodów su-  
nących do Londynu, ojcowskie słowa sprzed lat dzwoniły jej  
w uszach.

„Czy ten facet, który zmajstrował ci dziecko, zamierza się  
z tobą ożenić? Wierz mi, Zoe, jesteś zdana na siebie. To twój  
błąd, więc sama go napraw!”

Małżeństwo nigdy wchodziło w grę, pomyślała smutno.

Podczas gdy wszyscy wokół niej darli się wniebogłosy, tylko  
dziadek zachował spokój, rozsądek i dawał jej wsparcie.

Zoe zawsze była jego oczkiem w głowie. W dzieciństwie nie  
miała pojęcia, że ten miły starszy pan o głębokim głosie, który  
nie życzył sobie, by nazywała go „dziadkiem”, bo go to postarza,  
jest jednym z najwybitniejszych aktorów klasycznych w kraju.  
Zoe dorastała z matką i starszym bratem, Marcusem, w wygod-  
nym domu w Blackheath. Gdy miała trzy lata, rodzice się roz-  
wiedli i rzadko widywała ojca, Charlesa, który przeniósł się do  
Los Angeles. Zastąpił go jej dziadek, James Harrison. Najmilsze  
wspomnienia z dzieciństwa Zoe wiązały się z Haycroft, domem  
dziadka w Dorset, z sypialniami na strychu i sadem.

James Harrison właściwie był już wtedy na emeryturze, cza-  
sem tylko „skakał” za ocean i grał rolę w filmie, „żeby zaro-  
bić na chleb”, jak mawiał. Zoe zawsze mogła na niego liczyć.  
Zwłaszcza po tym, jak jej matka zginęła w wypadku samocho-  
dowym dosłownie metry od domu. Zoe miała wtedy dziesięć,  
Marcus – czternaście lat. Z pogrzebu zapamiętała jedynie, jak  
tuli się do dziadka, patrząc na jego stężałą twarz i łzy płynące po  
policzkach, kiedy pastor odmawiał modlitwę. Posępne nabożeń-  
stwo było pełne napięcia. Zoe musiała włożyć sztywną czarną  
sukienkę, a koronkowy kołnierzyk drapał ją w szyję.

Ojciec wrócił wtedy z Los Angeles i próbował pocieszyć cór-  
kę i syna, których prawie nie znał, ale to dziadek ocierał jej łzy  
i tulił, gdy w nocy zanosila się płaczem. Próbował też pocieszyć  
Marcusa, lecz ten zamknął się w sobie i nie chciał rozmawiać  
o matce. Ból po jej stracie zamknął głęboko w sercu.

Charles Harrison zabrał córkę do Los Angeles, a syn został

w Anglii w szkole z internatem. Zoe miała poczucie, że straciła nie tylko matkę, ale i brata... w jednej chwili całe życie.

Gdy w upalny dzień dotarła do urządnego w stylu hacjendy domu ojca w Bel Air, odkryła, że ma „ciocię Debbie”, która nie tylko mieszkała z tatą, ale także sypiała z nim w jednym łóżku. Ciocia Debbie miała bardzo jasne włosy, kipiała seksem i niezbyt uśmiechała się jej obecność dziesięcioletniej córki Charlesa.

Zoe posłano do szkoły w Beverly Hills, której szczerze nie cierpiała. Rzadko widywała ojca, mozolnie budującego karierę reżyserską. Debbie wprowadziła własne metody wychowawcze: kolacje przed telewizorem i niekończące się kreskówki. Zoe tęskniła za angielskimi porami roku, nienawidziła upału i akcentu głośnych mieszkańców Los Angeles. W długich listach do dziadka błagała, żeby przyjechał i zabrał ją z powrotem do ukochanego Haycroft; przekonywała go, że potrafi o siebie zadbać. Jeśli tylko pozwoli jej wrócić do domu, nie będzie przysparzała mu problemów.

Sześć miesięcy po przyjeździe Zoe do Los Angeles przed dom zajechała taksówka, z której wysiadł James Harrison w wytwornej panamie, uśmiechnięty od ucha do ucha. Zoe do dziś pamiętała bezbrzeżną radość, z jaką zbiegła po schodach i padła dziadkowi w ramiona. Rycerz przybył na wezwanie, aby ją wybawić. Debbie oddelegowano na basen, gdzie usiadła cała w dąsach, a Zoe zwierzyła się dziadkowi ze swego nieszczęścia. Jej ojciec, który akurat kręcił film w Meksyku, przystał na to, by dziadek zabrał ją z powrotem do Anglii.

W trakcie długiego lotu Zoe siedziała uradowana obok dziadka, z malutką rączką w jego dużej dłoni. Opierając się na silnym, pewnym ramieniu, wiedziała, że chce być tam gdzie on.

Polubiła przytulną szkołę z internatem w Dorset, z której wracała do domu na weekendy. James Harrison zawsze serdecznie witał przyjaciół wnuczki, czy to w Londynie, czy w domu Haycroft. Dopiero na widok rodziców kolegów i koleżanek, którzy przychodząc po swoje dzieci, otwierali szeroko oczy i z podziwem ściskali dłoń sir Jamesa Harrisona, zaczęło do niej



docierać, jaką sławą cieszy się dziadek. Gdy dorastała, zaczął przekazywać jej swoją miłość do Szekspira, Ibsena i Wilde'a. Oboje regularnie chodzili na spektakle do Barbican, Teatru Narodowego czy Old Vic. Noce spędzali wtedy w okazałym londyńskim domu Jamesa, a w niedziele siedzieli przed kominkiem i czytali teksty obejrzanych sztuk.

W wieku siedemnastu lat Zoe wiedziała, że chce zostać aktorką. Dziadek zgromadził prospekty szkół teatralnych i razem rozważali plusy i minusy poszczególnych uczelni. W końcu uznali, że Zoe powinna najpierw pójść na anglistykę i dopiero po zrobieniu dyplomu spróbować dostać się na studia aktorskie.

– Na uniwersytecie będziesz nie tylko studiować klasyczne teksty, co z pewnością przyda ci się na scenie i pozwoli w pełni chłonąć wiedzę w szkole teatralnej – powiedział dziadek. – Poza tym, z dyplomem z anglistyki będziesz miała plan rezerwowy.

– Myślisz, że polegnę jako aktorka? – spytała Zoe, szczerze przerażona.

– Nie, kochanie, oczywiście, że nie. Przede wszystkim jesteś moją wnuczką. Ale jesteś tak śliczna, że bez dyplomu nie będą cię traktować poważnie.

Wspólnie postanowili, że jeśli w szkole średniej uzyska tak dobre wyniki, jak oczekiwali, Zoe będzie studiować anglistykę w Oksfordzie.

Ale się zakochała. W ostatniej klasie liceum.

Cztery miesiące później zaszła w ciążę i wpadła w czarną rozpacz. Cała pieczołowicie planowana przyszłość legła w gruzach.

Przerażona, niepewna reakcji dziadka Zoe wykrztusiła prawdę podczas kolacji. Trochę zbladł, lecz spokojnie pokiwał głową i spytał, co zamierzała z tym fantem zrobić. Zalała się łzami. Sytuacja była tak okropna, tak skomplikowana, że Zoe nie mogła o wszystkim powiedzieć nawet ukochanemu dziadkowi.

Ojciec w towarzystwie Debbie przyleciał do Anglii, wrzeszczał na córkę, wyzywał od idiotek i pytał, kto jest ojcem. W ciągu okropnego tygodnia, gdy ważyły się losy dziecka, dziadek dawał jej wsparcie, siłę i odwagę. Ani razu nie zapytał, kto jest ojcem. Nie pytał o powody jej podróży do Londynu, gdy odbierał ją, wy-

czerpaną i bladą, na stacji Salisbury, gdzie z płaczem rzuciła się mu w ramiona.

Zdawała sobie sprawę, że gdyby nie jego miłość, wsparcie i niewzruszona wiara w słuszność jej decyzji, nie dałaby sobie rady.

Jamie przyszedł na świat i Zoe zobaczyła, jak niebieskie oczy dziadka zachodzą łzami, gdy po raz pierwszy wziął prawnuka na ręce. Poród nastąpił przed terminem i przebiegł tak szybko, że nie zdążyła do oddalonego o pół godziny drogi szpitala. Tak więc Jamie urodził się na łożu Jamesa Harrisona w domu Haycroft przy pomocy miejscowej położnej. Zoe leżała wyczerpana i zachwycona, kiedy dziadek wziął na ręce jej kwilącego synka.

– Witaj na świecie, małeńki – szepnęła i delikatnie pocałowała noworodka w czoło.

Właśnie wtedy postanowiła, że da synowi imię po nim.

Nie wiedziała, czy więź zrodziła się już wtedy, czy w następnych tygodniach, gdy matka i pradziadek na zmianę wstawali w nocy do płaczącego, cierpiącego na kolkę maleństwa. James był dla jej syna zarówno ojcem, jak i przyjacielem. Starszy pan spędzał z chłopcem mnóstwo czasu i jakimś cudem znajdował energię na zabawę. Po powrocie do domu Zoe zastawała go w ogrodzie rzucającego piłkę, by Jamie mógł ją kopnąć. Zabierał prawnuka na wyprawy przyrodnicze krętymi wiejskimi ścieżkami Dorset; przekazywał mu wiedzę o kwiatach rosnących na łąkach i w ich bujnym ogrodzie. Piwonie, lawenda i szaflwia przepychały się na szerokich klombach. W połowie lipca przez okno napływała woń ukochanych róż Jamesa.

To był piękny, spokojny czas; Zoe cieszyła się samą obecnością syna i dziadka. Jej ojciec był u szczytu kariery, właśnie otrzymał Oscara i rzadko się odzywał. Starła się tym nie przejmować, ale wczoraj na lotnisku, kiedy ją objął i powiedział, że za nią tęskni, poczuła niewidzialną więź.

On też się starzeje, pomyślała, wjeżdżając na rondo i kierując się ku centrum Londynu.

Kiedy Jamie miał trzy lata, dziadek namówił Zoe, żeby spróbowała dostać się do szkoły teatralnej.

– Jeśli cię przyjmą, możemy zamieszkać na Welbeck Street – powiedział. – Jamie wkrótce powinien zacząć chodzić do przedszkola. Dziecko powinno się socjalizować.

– Jestem pewna, że się nie dostanę – mruknęła, gdy w końcu dała się przekonać do spróbowania szczęścia w Królewskiej Akademii Teatralnej, dokąd z Welbeck mogła dojechać na rowerze.

A jednak ją przyjęli. Dzięki pomocy młodej francuskiej opiekunki, która odbierała Jamiego z przedszkola i robiła lunch dla chłopca i jego pradziadka, Zoe ukończyła trzyletnie studia.

Na jej przedstawienie dyplomowe dziadek zaprosił swojego agenta teatralnego i grupę zaprzyjaźnionych speców od castingu.

– Kochanie, niezależnie od tego, czy jesteś aktorką, czy reżysierką, świat stoi na nepotyzmie! – wyjaśnił.

Po ukończeniu studiów miała już własnego agenta i rolę w serialu telewizyjnym. Jamie chodził do szkoły, a kariera aktorska Zoe rozkwitała. Żałowała jedynie, że angażowano ją do filmów, a nie teatrów, bo przecież to scena była jej pierwszą miłością.

– Przestań narzekać, moja droga – upomniał ją dziadek, gdy wróciła do domu po bezowocnym dniu na planie we wschodnim Londynie. Z powodu ulewnego deszczu nie nakręcili ani jednego ujęcia. – Masz pracę, a młoda aktorka nie może liczyć na nic więcej. Na Royal Shakespeare Company przyjdzie jeszcze czas, obiecuję.

Jeśli nawet w ciągu następnych trzech lat zauważyła u dziadka oznaki starzenia, chyba nie dopuszczała tego do siebie. Dopiero gdy zaczął się krzywić z bólu, uparła się, żeby poszedł do lekarza.

Zdiagnozowano nowotwór jelita w zaawansowanym stadium, z przerzutami do wątroby i dwunastnicy. Z powodu podeszłego wieku lekarze nie zalecali wycieńczającej chemioterapii. Pozostawała jedynie opieka paliatywna, aby czas, jaki mu pozostał, mógł spędzić w spokoju, bez urządzeń podtrzymujących życie. Przede wszystkim James Harrison chciał być w domu, a nie w szpitalu.

Łzy napłynęły do oczu Zoe na myśl o czekającym ją pustym domu na Welbeck Street, gdzie jeszcze dwa tygodnie wcześniej unosiła się przyjemna woń tytoniu Old Holborn, który dziadek wbrew zakazom palił aż do śmierci. W ostatnich miesiącach życia był bardzo osłabiony, wzrok i słuch odmawiały mu posłuszeństwa, liczące dziewięćdziesiąt pięć lat kości błagały o spoczynek. Ale jego charyzma, poczucie humoru i optymizm wciąż wypełniały dom.

W lecie Zoe podjęła trudną decyzję o umieszczeniu syna w szkole z internatem, dla jego dobra. Nie chciała go zmuszać do patrzenia, jak ukochany pradziadek rozsypuje się na jego oczach. Zdawała sobie sprawę, że musi najłagodniej, jak to możliwe, wprowadzić chłopca w życie bez Wielkiego Jamesa, jak go nazywał Jamie. Jej syn nie widział pogłębiających się bruzd na twarzy pradziadka, drżenia dłoni, gdy grali w Snap, ani tego, jak starszy pan zasypiał w fotelu po lunchu i nie budził się do wieczora.

Tak więc Jamie wyjechał we wrześniu do szkoły, gdzie na szczęście się zadomowił, a Zoe przerwała karierę aktorską, by opiekować się coraz słabszym dziadkiem.

W pewien przenikliwie chłodny listopadowy wieczór chwycił ją za rękę, gdy zabierała filiżankę po herbacie.

– Gdzie jest Jamie?

– W szkole.

– Może przyjechać w ten weekend? Muszę go zobaczyć.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– To bystry chłopak, bystrzejszy niż większość jego rówieśników. Odkąd przyszedł na świat, zdawałem sobie sprawę, że nie jestem nieśmiertelny. Wiedziałem, że odejdę, kiedy on będzie jeszcze chłopcem. Przygotowałem go na to.

– Rozumiem. – Dłoń, w której trzymała filiżankę, drżała nie mniej niż dłoń dziadka.

– Sprowadzisz go? Powinienem się z nim zobaczyć. Jak najszybciej.

– Dobrze.

W weekend Zoe niechętnie zabrała syna ze szkoły. W dro-

dze do domu powiedziała mu, jak ciężko chory jest Wielki James. Jamie, z włosami opadającymi na twarz, skinął głową; nie zdradzał emocji.

– Wiem. Powiedział mi o tym w przerwie semestralnej. Obiecał, że mnie wezwie, jak... nadejdzie czas.

Gdy pobiegł na górę do pradziadka, Zoe chodziła nerwowo po kuchni, niepokojąc się, jak syn zareaguje na widok Wielkiego Jamesa w takim stanie.

Wieczorem, kiedy jedli we trójkę kolację w pokoju Jamesa, Zoe spostrzegła, że starszy pan wyraźnie poweselał. Większość weekendu Jamie spędził w sypialni pradziadka. Gdy w końcu poszła na górę i oznajmiła synowi, że czas wracać do szkoły, by zdążyć przed niedzielną ciszą nocną, jej dziadek rozłożył szeroko ręce, by uściskać prawnuka.

– Żegnaj, stary druhu. Dbaj o siebie i o matkę.

– Tak. Kocham cię! – Jamie przywarł do pradziadka z dziecięcą spontanicznością.

W drodze do szkoły w Berkshire niewiele rozmawiali, ale gdy wjeżdżali na parking, chłopiec oświadczył:

– Wiesz, już nigdy nie zobaczę Wielkiego Jamesa. Powiedział mi, że wkrótce odejdzie.

Zoe spojrzała na poważną twarz syna.

– Tak mi przykro, kochanie.

– Nie martw się, mamu. Rozumiem.

Pomachał jej i wbiegł po schodach do szkoły.

Niespełna tydzień później sir James Harrison, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, zmarł.

Zoe zaparkowała przy krawężniku na Welbeck Street, wysiadła z samochodu i spojrzała na dom, za którego utrzymanie teraz odpowiadała. Mimo fasady dodanej później, w czasach wiktoriańskich, budynek z czerwonej cegły stał tu od ponad dwustu lat. Widziała, że framugi okienne wysokich okien pilnie domagają się naprawy. W odróżnieniu od sąsiadów, dom wyginał się łagodnym łukiem, niczym przyjemnie napełniony brzuch.

Miał pięć kondygnacji, a okna na poddaszu mrugały do Zoe jak para wesółych oczu. Weszła po schodach, otworzyła ciężkie drzwi i zamknęła za sobą, zbierając z podłogi korespondencję. Oddech Zoe parował w mroźnym powietrzu; zadrżała i zapragnęła zaszyć się w zacisznym domu Haycroft. Czekala ją jednak praca. Wkrótce przed śmiercią dziadek gorąco namawiał ją, by przyjęła główną rolę w nowej filmowej wersji *Tessy d'Urberville* w reżyserii Mike'a Wintera, cieszącego się coraz większą sławą młodego brytyjskiego reżysera. Dając dziadkowi scenariusz – jeden z wielu przysyłanych jej co tydzień – nie spodziewała się, że go przeczyta.

Zrobił to jednak.

– Rola taka jak Tessy nie trafia się co dzień – powiedział, ujmując jej dłoń. – To wyjątkowy scenariusz. Z całego serca namawiam cię, byś przyjęła tę rolę. Ten film zrobi z ciebie gwiazdę, jak na to zasługujesz.

Nie musiał mówić o „ostatnim życzeniu”. Zoe wyczytała to w jego oczach.

Teraz, nie zdejmując płaszcza, przeszła korytarzem i włączyła termostat. Stary bojler zagrzechotał, budząc się do życia, a Zoe modliła się w duchu, by rury nie zamarzyły na mrozie. Po wejściu do kuchni ujrzała w zlewie kieliszki po winie i brudne popielniczki po wczorajszym przyjęciu, które musiała wydać po nabożeństwie. Z przyklejonym do twarzy wyrazem wdzięczności przyjmowała kondolencje od dziesiątek osób; niektórzy raczyli ją wspomnieniami o dziadku.

Bez entuzjazmu wysypywała zawartość popielniczek do śmieci, myśląc o tym, że większość pieniędzy za *Tessę* pójdzie na remont starego domu; nawet kuchnia była w dość opłakanym stanie.

Lampka automatycznej sekretarki migiała, więc Zoe odsłuchiwała wiadomość.

„Zoe? Zooooe??! Dobra, nie ma cię w domu. Zadzwoń do mnie. Natychmiast. Mówię serio. To pilne!”

Skrzywiła się, słysząc bełkot brata. Ze zgrozą patrzyła na strój Marcusa na wczorajszym nabożeństwie – nie miał nawet

krawata – a ze stypy wymknął się najszybciej, jak mógł, bez pożegnania. Wiedziała, że brat się dąsa.

Tuż po śmierci dziadka jej ojciec i Marcus przyszedli na odczytanie testamentu. Prawie całe oszczędności oraz dom Haycroft sir James Harrison postanowił przeznaczyć na fundusz powierniczy dla Jamiego do czasu, gdy ten skończy dwadzieścia jeden lat. Oprócz tego polisa na chesne szkolne i uniwersyteckie dla Jamiego. Dom na Welbeck Street przypadł w udziale Zoe, która dostała też pamiątki po karierze scenicznej dziadka, wypełniające strych Haycroft. Nie zostawił jednak wnuczce gotówki. Zoe rozumiała, że chciał, by miała motywację do dalszej kariery aktorskiej. Pewną kwotę przeznaczono na „stypendium pamięci sir Jamesa Harrisona”, dla dwojga utalentowanych młodych ludzi, których nie stać na dobrą szkołę teatralną. James Harrison życzył sobie, aby wnuczka i wnuk zajęli się tą sprawą. Marcusowi zostawił w spadku sto tysięcy funtów, „na otarcie łez”, jak stwierdził Marcus. Gdy odczytano testament, poczuła niemal namacalne rozczarowanie brata.

Zoe włączyła czajnik, zastanawiając się, czy oddzwonić do niego; wiedziała, że jeśli tego nie zrobi, pewnie on zadzwoni do niej o nieludzkiej godzinie, bełkocząc pijacko w słuchawkę. Mimo jego nieznośnego egocentryzmu kochała brata, pamiętała wspólne dzieciństwo i to, jaki zawsze był dla niej miły i dobry. Niezależnie od tego, jak Marcus zachowywał się teraz, wiedziała, że ma dobre serce. Niestety, zakochał się w niewłaściwych kobietach i zupełnie nie miał głowy do interesów, przez co regularnie był splukany i przygnębiony.

Po studiach wyjechał do ojca do Los Angeles, gdzie próbował szczęścia jako producent filmowy. Od ojca i dziadka Zoe dowiedziała się, że sprawy nie potoczyły się po jego myśli. W ciągu dziesięciu lat spędzonych w Los Angeles kolejne projekty Marcusa rozsypywały się w pył, budząc rozczarowanie jego i ojca, który w nie inwestował. Marcus był bankrutem.

– Problem z tym młodym człowiekiem polega na tym, że ma serce na właściwym miejscu, ale jest marzycielem – orzekł dziadek przed trzema laty, gdy Marcus wrócił z Los Angeles do

Anglii z podwiniętym ogonem. Ten jego nowy projekt... – Klepną! proponując film, którą wnuk przysłał mu w nadziei, że ją sfinansuje. – Mamy tu przyzwoity etos polityczny i moralny, ale gdzie historia? – James Harrison odmówił finansowania.

Nawet jeśli brat sam podejmował złe decyzje, Zoe czuła się winna, ponieważ dziadek faworyzował ją i jej syna zarówno za życia, jak i w testamencie.

Z kubkiem herbaty w ręce przeszła do salonu, powiodła wzrokiem po sfatygowanych mahoniowych meblach, wytartej kanapie, starych, zapadających się krzesłach. Ciężkie adamaszkowe story wyblakły; w delikatnym materiale pojawiły się drobne pionowe rozstępy, jak gdyby nóż przeciął adamaszek niczym masło. Idąc na górę do sypialni, pomyślała, że zdejmie wytarte dywany i sprawdzi, czy da się uratować drewnianą podłogę...

Przystanąła przed drzwiami sypialni dziadka. Po usunięciu wszystkich ponurych akcesoriów związanych z jego życiem i śmiercią pokój ział pustką. Pchnęła drzwi i weszła, wyobrażając sobie, jak uśmiechnięty dziadek siada na łóżku \.

Nagle opuściły ją wszystkie siły; skuliła się pod ścianą, wstrząsana łkaniem z żalu i bólu. Aż do tej chwili, z powodu Jamiego, nie pozwalała sobie na płacz. Teraz, gdy po raz pierwszy znalazła się sama, rozpłakała się nad sobą; opłakiwała stratę prawdziwego ojca i najlepszego przyjaciela.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, drgnęła. Znieruchomiała w nadziei, że niepożądany gość odejdzie i pozwoi jej lizać rany w samotności.

Intruz był jednak uparty.

– Zoe! – usłyszała znajomy głos przez otwór na listy. – Wiem, że jesteś w domu, widzę twój samochód. Wpuść mnie!

– Szlag by cię... Marcus! – zakłęła gniewnie pod nosem i otarła łzy, po czym zbiegła po schodach, otworzyła drzwi i ujrzała brata opartego o kamienny portyk.

– Jezu, siostrzo! – powiedział Marcus na jej widok. – Wyglądasz równie fatalnie jak ja.

– Dzięki.

– Mogę wejść?



– Skoro już tu jesteś, lepiej wejdź – warknęła i odsunęła się, by go przepuścić.

Ruszył prosto do barku w salonie i zanim zdążyła zamknąć drzwi, nalał sobie z karafki solidną porcję whisky.

– Zamierzałem spytać, jak się trzymasz, ale twoja twarz mówi wszystko – odezwał się, osuwając się na skórzany fotel.

– Marcus, powiedz, czego chcesz. Mam mnóstwo na głowie...

– Nie udawaj, że jest ci tak ciężko. Przecież stary Jim zostawił ci tę chatę. – Marcus zatoczył ręką łuk, wskazując salon, i o mały włos nie rozlał whisky.

– Zostawił ci sporo pieniędzy – rzuciła Zoe przez zaciśnięte zęby. – Wiem, że jesteś zły...

– Żebyś wiedziała! Jestem o krok od przekonania Bena MacIntyre’a, żeby reżyserował mój nowy projekt. Musi mieć jednak pewność, że zebrałem potrzebne środki. Wystarczy sto tysięcy na koncie firmowym i Ben się zgodzi.

– Cierpliwości. Kiedy testament zostanie zatwierdzony, dostaniesz pieniądze. – Zoe usiadła na kanapie i zaczęła masować skronie. – Nie możesz zaciągnąć pożyczki?

– Znasz moją zdolność kredytową. Firma Marc One Films też nie ma najlepszej historii finansowej. Jeżeli będę zwlekał, Ben zajmie się czym innym. Zoe, gdybyś poznała tych ludzi, sama chciałabyś w to wejść. To będzie najważniejszy film dziesięciolecia, jeśli nie stulecia...

Westchnęła. W minionych tygodniach sporo się nasłuchiwała o najnowszym projekcie brata.

– Wkrótce musimy zacząć się ubiegać o pozwolenie na filmowanie w Brazylii. Gdyby tylko tata pożyczyl mi forszę do czasu zatwierdzenia testamentu, ale odmówił. – Marcus utkwiał gniewne spojrzenie w siostrze.

– Nie możesz winić taty, że ci odmawia. Kilka razy ci pomagał.

– Ale teraz jest inaczej. Przysięgam, Zoe, to punkt zwrotny.

Przyjrzała się bratu; wyglądał znacznie gorzej niż jeszcze kilka tygodni temu. Poważnie martwiła się jego piciem.

– Wiesz, że nie mam gotówki, Marcus.

– Daj spokój, Zoe! Na pewno mogłabyś dostać kredyt hipoteczny na ten dom albo postarać się o krótkoterminową pożyczkę, zanim testament zostanie uwierzytelniony.

– Dosyć! – Uderzyła poręcz kanapy. – Co za dużo, to niezdrowo! Tylko siebie posłuchaj! Naprawdę się dziwisz, że dziadek nie zostawił ci tego domu? Przecież wiedział, że natychmiast byś go sprzedała. Prawie go nie odwiedzałaś, kiedy był chory. To ja się nim opiekowałam, ja go kochałam... – Z trudem zapanowała nad łzami.

– No tak... – Marcus wyglądał na autentycznie zawstydzonego. Spuścił wzrok i łyknął whisky. – Zawsze byłeś jego oczkiem w głowie, co? Na mnie prawie nie spojrział.

– Co się z tobą dzieje? – spytała cicho. – Zależy mi na tobie, naprawdę chcę ci pomóc, ale...

– Nie ufasz mi. Tak jak tata i jak sir Jim. To jest prawdziwy powód, tak?

– Och, Marcus, trudno się dziwić, zważywszy na to, jak się ostatnio zachowujesz. Sama nie wiem, kiedy ostatni raz widziałam cię trzeźwego...

– Daruj sobie to „Och, Marcus”! Po śmierci mamy każdy chciał się zajmować biedną Zoe! A ja? Kogo obchodziłem?

– Jeśli zamierzasz odgrzebywać stare dzieje, rób to na własną rękę. Ja nie mam na to siły. – Wstała i pokazała drzwi. – Zadzwoń, jak wytrzeźwiejesz. Nie zamierzam z tobą rozmawiać, dopóki jesteś w takim stanie.

– Zoe...

– Mówię poważnie, Marcus. Kocham cię, ale musisz wziąć się w garść.

Wstał ciężko, zostawiając szklankę na dywanie, i ruszył do drzwi.

– Pamiętaj, że na początku przyszłego tygodnia idziemy razem na premierę! – zawołała.

Brat nie odpowiedział, a po chwili usłyszała trzaśnięcie drzwiami.

Poszła do kuchni i zaparzyła rumianek na uspokojenie; potem przejrzała puste szafki. Na kolację musiała się zadowolić chipsami. Przerzuciła leżącą przy telefonie korespondencję w poszukiwaniu zaproszenia na premierę filmu, do którego zdjęcia skończyły się krótko przed tym, jak dziadkowi postawiono diagnozę. Gdy wysuwała zaproszenie z koperty, żeby sprawdzić szczegóły i przesłać je Marcusowi SMS-em, zwróciła uwagę na nazwisko u góry kartki.

– O Jezu – wyszeptała.

Osunęła się na fotel, czując, jak żołądek wykonuje salto.